SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

PRZESILENIE ANGIELSKIE.

W chwili, gdy to piszemy, wybory do Izby Gmin są jeszcze w pełnym toku, a wynik ich ostateczny nie daje się jeszcze przewidzieć.

Są już jednakże niebezpodstawne przypuszczenia, że liberali i wogóle ministerjalni odniosą względną porażkę, opozycja—względne zwycięstwo.

Względną porażkę dlatego, że liberali, pomimo utraty wielu krzeseł poselskich, nie przestaną być prawdopodobnie w większości, ale już nie w większości, stanowiącej przeszło połowę członków całej Izby.

Względne zwycięsto dlatego, że opozycja— konserwatyści i unjoniści—wzmogą się zapewne na siłach o tyle, że, pozostając nawet w mniejszości i nie mogąc obalić rządu, potrafią zaszachować gabinet obecny w jego dążeniach skrajnie radykalnych, zdołają prowadzić dalej podkopywanie jego autorytetu i popularności. Byłoby to zaś zadaniem o tyle łatwiejszem, że przeciwnicy Asquitha, Lloyda George'a i Winstona Churchila mogliby swobodnie grać na najciaśniejszych, najbardziej pierwotnych instynktach burżuazji i szowinistów angielskich za zbyt wielkie ustępstwa dla Partji Pracy i narodowców irlandzkich, z któremi liberali musieliby wejść w bezwzględny sojusz w razie nieposiadania w swych rękach połowy wszystkich mandatów.

Zdaje się, że opozycja nie może liczyć na nic większego, jak na taki względny wynik obecnych wyborów. Do zwycięstwa bezwzględnego musiałaby zdobyć przynajmniej 168 krzeseł poselskich, gdyż na 670 członków Izba Gmin liczyła w chwili rozwiązania 168 posłów opozycyjnych, gdy blok ministerjalny stanowiło 383 liberałów, 46 członków Labour Party, oraz 83 irlandczyków.

Zresztą nie jest wykluczone, że zwycięstwo względne czy bezwzględne konserwatystów i unjonistów byłoby czysto fikcyjne, czysto parlamentarne.

W Królestwie Zjednoczonem, jak wszędzie, gdzie przedstawiciestwo ludowe nie jest oparte na ustosunkowanem prawie wyborczem, zdarzyć się może łatwo, iż większość w Izbie Gmin nie będzie odpowiadała przekonaniom większości wyborców.

Pomijając, że w Anglji niema powszechnego prawa głosowania, że istnieją jeszcze wyborcy wielogłosowi, a obie te okoliczności są przychylne dla dzisiejszej opozycji,—sprzyja jej prócz tego i przestarzały podział okręgów wyborczych, wskutek którego wielkie

środowiska handlowe i przemysłowe, usposobione radykalnie, są upośledzone pod względem przedstawicielkim.

Tak, najmniejszym okręgiem wyborczym jest miasteczko irlandzkie Kikenny z 1,742 wyborcami, gdy w stolicy państwa, Londynie, liczba wyborców jednego okręgu dochodzi do 38,000.

W rozwijającej się potężnie pod względem przemysłowym, więc bardziej robotniczej, bardziej radykalnej Anglji, przypada na jeden okręg przeciętnie 11,600 wyborców, w rozwijającej się słabiej Szkocji—10,200, wreszcie w rolniczej, zacofanej Irlandji—6,800.

Ale nietylko z tych względów opozycja dzisiejsza miała ułatwioną walkę o powrót do władzy, utraconej w r. 1906.

Hasła, jakie w tłum wyborczy rzucali liberali i radykali, hasła ograniczenia przywilejów lordowskich, ubezpieczenia społecznego i pokrycia potrzeb budżetowych drogą nowych podatków, spadających na klasę posiadającą, budziły niewątpliwie rozgłośne echo w najszerszych rzeszach wyborców. Ale jednocześnie konserwatyści i unjoniści umieli poruszyć ukryte struny swych współobywateli. Odwołali się — gdy szło o zniesienie Izby Lordów — do utajonego w każdym angliku instynktu zachowawczości. Poruszyli—gdy liberali mówili o h o m e-r u l u irlandzkim—uczucia nacjonalistyczne. Roztoczyli przed wyborcą zachłannym, żądnym panowania i nowych rynków, czarodziejskie obrazy najpotężniejszego na świecie, najrozleglejszego imperjum. Przebudzili, a raczej spotęgowali w wyspiarzu lęk przed najściem cudzoziemców — niemców...

I temu niewątpliwie graniu na bardziej pierwotnych strunach duszy ludzkiej zawdzięczać będą powodzenie przeciwnicy liberałów i radykałów, których polityka więcej troszczy się o zaspokojenie kulturalnych potrzeb społeczeństwa angielskiego, jest w znacznej mierze polityką klas bez tradycji dziejowych, żądnych za to większej ilości chleba, słońca i oświaty—tego, czego przez wieki były pozbawione...

Za czyim programem politycznym więcej przemawia, nie potrzebujemy w tem miejscu podkreślać. Inna jest rzecz, czy polityka liberałów angielskich, polityka tradycyjnie pokojowa, jest przystosowana do chwili obecnej, czy Lloyd George i Winston Churchill, czy Ernest Cassel nie oddawali się słodkim a nieopatrznym mrzonkom, zastanawiając się nad możliwością ograniczenia zbrojeń ze strony Anglji i Niemiec — podczas pobytu w samem sercu największego wroga Johna Bulla—w Berlinie. I inna jest rzecz, czy może być mowa o jednostronnym pacyfizmie dziś, gdy każda niemal godzina stwarza na widnokręgu politycznym nowe ognisko zapalne obok dawnych niepogojonych jeszcze lub jątrzących się ropniów.

Całe też niebywałe zaciekawienie, jakiem wszystkie rządy i wszystkie społeczeństwa obdarzają dzisiejsze wybory w Anglji, wywołane jest przez to, że wynik ich będzie odpowiedzią na pierwszorzędnej wagi międzynarodowej zapytanie: czy Królestwo Zjednoczone zamierza kroczyć drogą rozbrojenia czy uzbrojenia.

Wr.

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

W y b o r y w A n g l j i. Jakkolwiek już z dotychczasowych wyborów wynika jasno, że liberali wejdą w większości do Izby Gmin, niemniej obecna walka wyborcza sprawiła im poważny zawód. Unjoniści czyli zwolennicy reformy celnej zyskają pewną i to dość, zapewne, znaczną ilość miejsc, podczas gdy blok rządowy poniesie poważne straty. Przyczyna tego leży zarówno w układzie form wyborczych w Anglji, jak i w poważnej mierze w demagogji militarystycznej unjonistów.

Przy obecnem naprężeniu stosunków międzynarodowych, przy ciągłem dążeniu Niemiec do supremacji morskiej, opinja mieszczaństwa angielskiego stała się nad wyraz wrażliwą w stosunku do przewagi floty angielskiej. Zasada 2 połączonych flot stała się poważnym atutem w rękach unjonistów.

Drugim atutem jest obecny przestarzały, a do gruntu niedemokratyczny system wyborczy. System ten pozwala posiadaczom ziemskim korzystać z kilku głosów, zależnie od posiadłości ich w różnych częściach kraju. Następnie przy braku powtórnego głosowania jedyny kandydat konserwatystów ma zawsze szanse otrzymania względnej większości w walce z rozstrzelonemi głosami większości rządowej.

Jako przykład podać możemy wybory w Bow and Bromley, gdzie brało udział 10,330 wyborców w głosowaniu. Kandydat konserwatywny został wybrany otrzymawszy 3695 głosów, podczas gdy liberał otrzymał głosów 2955, kandydat Partji pracy 2167, co stanowi większość ministerjalną 5222 głosów. Jeżeli przytem zwrócimy uwagę na otwartą wprost presję, jaką wywierają konserwatyści na zależnych od nich wyborców, to zwycięztwa odniesione przez unionistów okażą się dość illuzorycznemi. W każdym razie liberali angielscy winni zrozumieć, jak naglącą jest sprawa gruntownej reformy wyborczej.

Nie ulega jednak wątpliwości, że większość ministerjalna w przyszłym parlamencie, pozwoli liberałom przeprowadzić budżet zawieszony przez Izbę Lordów. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa reform natury politycznej i ekonomicznej, zapowiedzianych przez ministerjum Asquitha. Zależni z jednej strony od posłów Irlandzkich, z drugiej od posłów Robotniczych, liberali będą tak skrępowani, ne nie można na tem polu oczekiwać zbyt poważnych rezultatów. Gdyby zależność ta była zbyt poważną, skutkiem może być niezbyt odległe rozwiązanie parlamentu. W każdym razie wybory obecne posiadać będą znaczenie historyczne. Cały szereg zagadnień natury politycznej i ekonomicznej postawiły je w sposób zdecydowany na porządku dziennym. Wykazały one zarazem w sposób jaskrawy cały szereg braków. Większość Izby Gmin, albo musi ustąpić, albo zająć stanowisko wyraźne, które jedynie pozwoli jej odnieść decydujące zwycięstwo nad konserwatystami i ich ekspozyturą Izby Lordów.

D y s k u s j a s z k o l n a w p a r l a m e n c i e f r a n c u s k i m. Obalony pozornie i obezwładniony kościół katolicki zajmował jedną po drugiej placówki najważniejsze, w mózgu poniekąd narodu, w jego szkolnictwie. Korzystając z swobód pozostałych z dawnych czasów, z osławionego prawa Falloux, kler zakładał t. zw. szkoły wolne i krzewił w nich obskurantyzm, nietolerancję i nienawiść do republiki. Zaślepiony bezkarnością w chwili najodpowiedniejszej, bo poprzedzającej wybory zajął kler stanowisko napastnicze i począł zwalczać szkoły świeckie zakładane przez państwo. „Stowarzyszenie ojców rodzin“ które agitowało za odbieraniem dzieci ze szkół świeckich, list pasterski arcybiskupa z Reims wymierzony przeciw tym szkołom i wreszcie wciągnięcie na *index* podręczników używanych w szkołach rządowych — oto ważniejsze wycieczki ze strony kleru przeciw powyższym szkołom. Sprawa ta dostała się w formie interpelacji na porządek dzienny Izby i wywołała w niej prawdziwą batalję, która obecnie nie jest jeszcze ukończoną. W walce tej kler poniósł ciężką porażkę moralną. Ustępy cytowane z podręczników używanych w szkołach klerykalnych tchną taką nienawiścią, nietolerancją, wykazują tak bezprzykładne fałszowanie prawdy, że poczynając od umiarkowanych republikanów nie odezwał się ani jeden głos któryby nie tchnął oburzeniem na to nowoczesne barba-

rzyństwo. Nawet obrona nie mogła wnieść nic takiego coby zmiękczyło sąd jaki opinja postępowa wyrobiła sobie na podstawie tej dyskusji.

Ujawnił się głęboki rozkład wewnętrzny nurtujący obóz katolicki. Sprawa ta posiada zarazem i podkład społeczny. Cały szereg faktów dowiódł, że klerykali używają wszelkich sposów eksterminacji by zmusić klasę robotniczą do wycofania swych dzieci ze szkół świeckich i oddania ich w ręce klerykałów. Silne wrażenie sprawiło przemówienie deputowanego—robotnika, który wykazywał z goryczą popełniane nadużycia.

W dyskusji ujawniła się również krytyka obecnej szkoły świeckiej. Radykali chcą mieć szkołę radykalną i taką tworzą, niebezpieczeństwo jednak klerykalizmu zmusza narazie do skonsolidowania w tej sprawie wszystkich, sprawa reformy szkoły świeckiej stała się jednak sprawą otwartą. Szczerą nutą zadźwięczał głos deputowanego Buisson'a, gdy mówił:

„Przyjdzie czas, gdy pożądanem będzie, by dziecko poznało najpiękniejsze stronice proroków Izraela, filozofów i poetów greckich, kiedy będzie mieć pojęcie o cywilizacji starożytnej, gdy danem mu będzie przejść wieki średnie i zapoznać się z Reformacją.

Pojmie ono wtedy wielkość kościoła i filozofów, którzy kościół ten zwalczali. Rozpozna ono w każdym z tych etapów zwycięstwa, jakie odnosił rozum ludzki nad niewiedzą.

Lecz wszystko to jest przyszłością, żeby dojść do tego, należy uczynić oświatę ludową wolną, przyjdzie dzień, gdy Francja nie będzie sądzić, że uiściła się z długu względem dziecka, trzymając je w szkole do lat 12, gdy zrozumie, że winną mu jest całokształt kultury ludzkiej.

Właski.

E C H A.

W № 2 „Solidarności Robotniczej"—pisma, wychodzącego zagranicą, p. K. Zalewski ogłasza list, zaznaczając jednocześnie, że za formę i treść sam tylko odpowiada. Z listu tego dowiadujemy się, że w № 169 „Czerwonego Sztandaru" ukazała się notatka p. t. „Sprawa K. Zalewskiego". W notatce tej czytamy ustęp wielce charakterystyczny: „*Śledztwo sądowe* ustaliło między innemi fakt następujący: że fałszywem jest oświetlenie rozwoju naszego ruchu zawodowego, które dał Zalewski w piśmie rosyjskiem „Profesjonalnyj Wiestnik". Słowa te świadczą wyraźnie, że sąd partyjny sądził p. Zal. za „fałszywe" (zdaniem Zarz. Gł.) oświetlenie ruchu zawodowego, to jest sądził go za *przekonania.*

Sąd taki do pewnego stopnia byłby racjonalny w zaprzysiężonej sekcie politycznej, a nie w łonie stronnictwa robotniczego, pretendującego w dodatku do stanowiska grupy kierowniczej w ruchu socjalistycznym. Sprawa powyższa dowodzi tylko, że zapalczywość działaczy tych w dzisiejszym okresie rośnie w prostym stosunku do bezczynności na emigracji.

Lewica P. P. S. ogłasza fakt, który rzuca ponure światło na stosunki partyjne. Otóż, po rozłamie partji w listopadzie 1906 r. i utworzeniu t. zw. Frakcji Rew., Archiwum P. P. S. pozostało w rękach partji. Korzystało ono z gościnnego lokalu redakcji „Naprzodu", będąc w zawiadywaniu lewicy. Po kilku miesiącach rzeczona redakcja z racji przeprowadzki umieściła archiwum w oddzielnym lokalu i jednocześnie zawiadomiła lewicę, iż na żądanie Frakcji obejmuje archiwum w depozyt do czasu porozumienia się „obu frakcji".

Przeciw temu lewica założyła protest i zażądała opieczętowania depozytu. Zarząd P. P. S. D. Galicji i Śląska zgodnie z powyższem żądaniem zlecił opieczętowanie archiwum

Dnia 8 grudnia r. p. delegaci lewicy wraz z przedstawicielami Kom. wyk. P. P. S. D. udali się do archiwum w celu wspólnego dokonania inspekcji—lecz zastali lokal — pusty. Jednocześnie jeden z delegatów Kom. wyk. oznajmił, że się w ostatniej chwili dowiedział o wysłaniu w przeddzień listu do Kom. wyk., w którym Frakcja zawiadamia o powziętym przez siebie postanowieniu zabrania Archiwum.

Wszelkie komentarze do faktu tego będą chyba zbyteczne.

W Krakowie w d. 20 b. m. odebrał sobie życie Józef Kwiatek, jeden z wybitniejszych członków polskiej partji socjalistycznej, brał gorący udział w ruchu robotniczym, zwłaszcza w działalności oświatowej. Śmierć jego znów powiększa listę tragicznego porachunku z rzeczywistością. *l.*

A „STIEPKA", p. STRASZEWICZ?

P. Straszewicz słusznie oburza się w „Kurjerze Polskim" na p. Kazimierza Waliszewskiego za współpracownictwo w organie papy Suworina.

Dziwne jest tylko, że „niewłaściwość" tę spostrzegł dopiero teraz, gdy p. W.—o ile się nie mylimy—zasila „Nowoje Wremia" już od r. 1906.

„Zdumieliśmy się!...—woła p. Straszewicz. „Gazeta „Nowoje Wremia" jest nam nieprzyjazną. Gdyby tylko nieprzyjazną! To wróg zajadły! Lży i poniewiera imię polskie! To kuźnia projektów, obrachowanych na zgubę narodu polskiego! Tam pracują takie ponure figury, jak Mieńszykow, Filewicz, Kułakowskij, Wergun i tylu innych. Specjaliści do gnębienia Polski.

Nam się zdaje, iż polakowi nie wolno być współpracownikiem tego pisma, cokolwiekby pisał.

Zdumiewamy się z kolei i my...

Oczywiście, nie nad protestem p. Straszewicza przeciwko współpracownictwu p. Waliszewskiego w „Nowoje Wremia", bo co do tego stanowisko nasze jest po dwakroć jasne.

Zdumiewamy się nad stronniczością p. Straszewicza, nad ślepotą, nie dozwalającą mu dojrzeć belki w oku własnem, nad umiejętnością zakrywania brudów we własnej „rodzinie" przez wskazywanie na cudze skandale...

P. Straszewicz nie może nie wiedzieć, że grono współpracowników „Nowego Wremieni", grono „ponurych figur" powiększył niedawno—gosp. Stiepan Godlewskij.

„Zacz kto?"—pyta pan, p. Straszewicz, zbity z tropu nie katolickiem brzmieniem imienia i nie polską końcówką nazwiska.

Nikt inny, tylko p. Stefan Godlewski, — czcigodny obywatel, powszechnie szanowany ziemianin, gorliwy katolik, znany działacz społeczny, podpora polityki realnej, wreszcie poseł do Rady Państwa, mandatarjusz narodu...

Znalazła się więc, p. Straszewicz, odwaga publicystyczna, obywatelskie szat rozdarcie, koheletowe zapytanie: „co się z człowiekiem zrobić może?" — gdy szło o p. Waliszewskiego; zakrakło tego wszystkiego, gdy idzie o „Stiepkę"—przyjaciela politycznego.

Gdzie sprawiedliwość, gdzie bezstronność, cenione dotąd w p. Straszewiczu nawet przez żywioły skrajne?

A na „obronę" p. Waliszewskiego znajdą się jeszcze argumenty.

„Może—powiada sam p. Str.—, może, zabłądziwszy myślą w jakieś kombinacje, stracił możność sądu jasnego... Mieszka stale w Paryżu".

Za p. „Stiepanem” żadna z tych okoliczności łagodzących przemawiać nie może.

P. Godlewskij mieszka w kraju, chwilowo w Petersburgu, wie, co się dzieje tu, jakie są nastroje tam.

P. Godlewskij nie jest, jak Waliszewski, wolontarjuszem publicystycznym, bawiącym się w wysoką politykę *à ses risques et perils*, lecz przedstawicielem — jeśli nie narodu — to pewnej jego klasy, jest *representative man*, którego słowa i czyny zapisywane są na dobro lub ciężar wszystkich jego mocodawców.

Że ci nie przywołali „Stiepki” do porządku jest rzeczą zrozumiałą, ale nie napiętnowanie przez p. Straszewicza Godlewskiego, gdy stawia się pod pręgierz Waliszewskiego, musi budzić zdumienie, niesmak i zarzuty natury wprost etycznej.

A jeśli p. Straszewicz dla obrony siebie zechce tłumaczyć swego kommilitona politycznego, twierdząc, że co innego pisał Godlewskij, co innego zaś Waliszewski, to z aktu oskarżenia przeciw temu ostatniemu wyjmiemy zdanie, które pogrzebie zarówno „ponurą figurę” p. Godlewskiego, jak i p. Straszewicza:

„Nam się zdaje, iż Polakowi nie wolno być współpracownikiem tego pisma („Now. Wrem.”), *cokolwiekby pisał.*

ski.

APOKALIPSA SŁOWACKIEGO.

II.

Na tem tle cudu i zgrozy nie trzymają się już Wertherowskie miłości, ani zawiła gra Hamletowska. Kobiety są jakgdyby rozszalałe lub zahypnotyzowane wielkiemi na miarę nowej Golgoty wypadkami. Miejsce słaniającego się wdzięku i królewsko-łaskawych uśmiechów, wyżebrywanych jak zbawienie duszy, za cenę mąk i życia—zajęły mężne i heroiczne słowa czarodziejek, które w ciele alabastrowej kruchości ukrywają siłę cudu. Odbił się na nich krwawy blask zapału konfederacji Barskiej i purpurowej łaźni, sprawionej przez hajdamackie hultajstwo.

Oba utwory: *Ksiądz Marek* i *Sen Srebrny Salomei*, wraz z 3-im *Samuelem Zborowskim* nie należą bynajmniej do cyklu owych zapowiedzianych w przypisaniu *Balladyny* sześciu kronik dramatycznych; nie powstały z legend i nie goszczą „cieniów różnych ludzi niebyłych“. Owszem ludzie w nich są bardzo żywi i nawet wiernie spostretowani. A jednak dzieje to całkiem wytrącone z kolei ludzkiej, normalnej logiki i prawdopodobieństwa. Nie tylko sceny ale i osoby działające, przy całem mistrzowstwie i nieraz pulsującej prawdzie ich psychologji, porwane są w rozmach apokaliptyczny. Sama zaś akcja szalenie odchyla się w dół lub górę od horyzontalnej linji rzeczywistości i tak zwanego zdrowego rozsądku, i przeistacza historyczne fakta i epizody w jakieś średniowieczne epidemje zbiorowych omanów i mistycznych opętań.

Nawet jeden z bohaterów, regimentarz Kazimierz Pułaski, sam staje jakby osłupiały wobec tego teatru wizjonerskiego i wszedłszy między nieszczęsne a wiarą do niebios podniesione duchy, uczcił ich cudnie zbolałemi słowy:

Ten lud, widzę cały chory
Wszędy, gdzie oczyma skinie
Widzi ogień i upiory
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jedną wielką bliznę
Jedną moją cierpiącą ojczyznę.

W istocie oba dramata są słowem cudu, które się stało ciałem. Oba toczą się niby siłą wypadków ziemską a właściwie rozkazem nadziemskim, mistycznym. Istotnemi bohaterami są, tu i tam, słowiańscy druidzi—prorocy, Ksiądz Marek i Wernyhora. Pierwszy, anioł heroicznej obrony Baru, dokazuje cudów tąk wielkich, że sam Pułaski widząc je i patrząc na ekstazę całego ludu, uwierzył w ostateczne zwycięstwo Polski i sam je prorokować zaczął i wszyscy, wszyscy zmartwychstaniem. Drugi, Wernyhora, ubogi, niepokaźny widzun ukraiński, podobny do tylu innych Juljuszowych Derwidów „lejących srebrnemi brodami po strunach harfy”, przepowiedział straszliwy los Gruszczyńskiego, jego żony i dzieci i wszystkie też ohydy zbuntowanej czerni, przeciągające jak chore widziadła maligny przez cały „romans dramatyczny”, są owych wróżb spełnieniem. I prorokuje on tajemniczo coś więcej jeszcze—że powróci na ziemię po latach, i „naprowadzi łabędzi i rycerzy i hetmanów”. Z sybillińską zagadkowością natrąca o przyszłej Polsce, jak się ona odrodzi, gdy obeschną łzy ludu.

Olbrzymia jest ta krwawa burza, którą poskramia ks. Marek, i ogromny jest krwawy huragan, który rozpętały przepowiedni Wernyhory. Obadwaj władają duszami i rozkazują wypadkom, jak wojewodowie w Królestwie Apokalipsy. W ich pobliżu nawet ludzie zwyczajniejsi rwą się do cudów i podobnemi się stają do czarodziejów. Wszyscy zarażają się darem cudotwórstwa i wielką retoryką zaklinawczą. Głowy chylą się i truchleją serca w przeczuciu wielkich wydarzeń i objawień. Jak Leon, kością trupią rzucają przekleństwa i czary albo zażegnywują niebezpieczeństwa, albo jak księżniczka, narzeczona Sawy, chcieliby pomknąć na chmury znanym nam lotem Walkirji i wołając: „Dajcie mi księżyc na głowę! Dajcie mi tęczę pod nogi!”

Nigdy jeszcze przedtem krwawe krzyże na niebiosach Słowackiego, zwiastujące cuda, nie pałały tak jasno i szeroko i nie trzymały w takiem świątobliwem przejęciu całego narodu. Tutaj żyje on jednem uniesieniem. Osoby i uczucia, słowa i czyny to jedno wyczekiwanie wdania się Boga i duchów, nadejścia straszliwego i zbawczego dnia.

Wyobraźnia apokaliptyczna, która już dawniej zastępywała poezje Słowackiego latami tysiącznemi i trzytysiącznemi, erami kosmicznych okresów, metampsychicznych powrotów na ziemię — tutaj dojrzała już ostatecznie. Dotychczasowy zmysł odnowień i odrodzeń powszechnych i narodowych zamienił się w grzmiącą surmę sądów ostatecznych. Jesteśmy w zaczarowanym kręgu S go Jana. Ten wielki styl poddaje nam na wstępie, niby tonację, przepiękny prelud, który w kilku strofach zdołał zmieścić całą nieskończoność heroizmu i piękna wolności. „Pieśń konfederatów”, arcydzieło powiązania pobudki wojennej, fantazji żołnierskiej z ideową żarliwością, z całym programem politycznym, błyszczy, gra i powiewa, jak „chorągwiane ognie z meteorów”, jak szacowny proporzec wsławiony stu bojami i w którym każda nitka haftu mówi o wielkiej prawdzie, wielkiej gotowości na wszystko i o jednej tylko pokorze: wobec Boga i Chrystusa. Jestto druga Bogarodzica i „kto się w opiekę”, ale nowsze serdeczniejsze i żywsze a groźne, jak objawienia św. Jana.

Więc choć się spieka świat i zadrży słońce
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
Wszak, póki on był z naszemi ojcami—
Byli zwycięzce!

Nie dziw przeto, że Starościc widzi zaraz na samym wstępie „Pana naszego obrońcę, co siedmiomieczowe słońce na serca jasnym rubinie zapaliwszy, stał na chmurach”.

Tragiczne dzieje układają się i toczą według skali apokaliptycznej. Tę linję ma fantastyczna postać Judyty,

w imieniu Boga, grożąca klęskami na ludy całe, w postawie swej i gromowej mocy słów podobna do Róży Wenedy, lecz o wiele okropniejsza. Taką linją narysowany jest też Leon, syn Regimentarza, który staje się Lwem. Bajeczny koń Wernyhory staje się rumakiem, piekielnym, wściekłym, bez czapraka. Semenko, wódz rezunów i zdrajca, — oblany smołą i zamieniony w żywą pochodnię. W rozprute łono zarżniętej Gruszczyńskiej potwory wkładają szczenię. To już nie wypadki i nie zbrodnie, lecz zaklęte w czyny szatany i hyeny.

A nawała ich tak lekko, tak obficie, tak hucznie płynie, że widać odrazu, iż poeta już ich w karbach utrzymać nie może i nie chce. Nie probuje zgoła walczyć z szałem fantazji, nie pomny na to, że gdyby obrazów było mniej, groza ich byłaby jeszcze większa a słowo wyroczniejsze.

Apokalipsa Słowackiego zaczęła się właściwie już dawniej w *Kordyanie*. Już wtedy, przeżywając olbrzymie porywy ideowe Mickiewicza i wpatrzony w szerokie kaskady dramatyczne Szekspira, znalazł właściwą formę poetycką dla swej narodowej rozpaczy i narodowej pociechy, dla wizji wskrzeszenia i sądu nad ciemiężcami. Poprostu pożyczył wyrazu od Ś-go Jana. Objawienie przemówiło ustami pierwszej osoby Prologu, lecz tym udręczonym i zarazem zachwycenia pełnym głosem, w którym odrazu poznajemy głos Słowackiego:

A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy.

Stoi pośród siedmiu złocistych lichtarzy, z oczu skra leci ogniów dyamentu pełna; głos huczy jako woda wezbraniem szalona, w ręku siedem gwiazd niesie, a z ust mu wytryska miecz ostry, obosieczny. Błaga Boga by mu dał trąbę sądnego anioła i aby naród jego wyniszczony bojem i męką, spał cicho i nie budził się aż w dniu zmartwychchstania,—i ma nadzieję, że słowem swojem zdoła cielce złote giąć i burzyć.

Apokalipsa Kordyana jest jeszcze częściowo alegorją, albowiem druga osoba Prologu rozbija symbole i wyłuskuje z nich rzeczy realne: świeczniki to złotem nalane narady, gwiazdy to myśli, miecz to słowo, zabijające głupich lub wrogich. Lecz skala widzeń została jako zapowiedź skali przyszłej wiary i przyszłych, już za rzeczywiste uważanych cudów — w dramatach z czasów konfederacji Barskiej. Poeta postąpił o wiele staj naprzód w egzaltacji i ekstazie „mocy wskrzesitelnej", i cudotwórczej.

Kordyan nie udźwignął ciężaru swojego zamachu, zaś bohaterowie Baru siłę czynów i cudów posiedli—i to tak wielkich, że mogły zwiastować zmartwychstanie i nawet słały do niego drogę różami duchowych tryumfów.

Oni stworzyli „z martwychchstańców" piramidę; oni sprawili, że ukazywał się w powietrzu kartelusz ogniotęczowy, na którym stoi napisane imię Iehowy, zatraciciela narodów, „wywrotnika twierdz i grodów", „słyszeli wielkie głosy Boga, co ogniem pisze nowy rozkaz, nowe prawo".

Ksiądz Marek jest już zupełną realizacją Objawienia; wie o tem i głosi:

Więc się nie dziw, że tak błyskam
Jak Mojżesz duchem natchnięty,
Żem jest jako Jan Święty
Widzący to, co ja widzę,
Bo zaprawdę jestem w lidze
Z duchami i ze świętemi—
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami—w słońcu ducha.

Tylko, znając bezustannie przytomne w myśli wersety Ś-go Jana, zrozumieć można i psychologicznie wytłomaczyć tę niczem nieotamowaną hojność groźb i proroctw. Jest widoczne, że Juljusz wczytany weń całem swem jestestwem, zlekceważył w sobie ład i kompozycję, i zamiast artystycznej rozwagi wolał dać się nieść widzeniom i ich powtórzeniom, furji i nieobliczalności.

Nad obydwoma dramatami ciąży jakieś różne od rzeczywistego sklepienie nieba, które daremnie próbowalibyśmy roztoczyć nad tragedjami innych poetów. I u Słowackiego przedtem go nie było. Nad *Lillą Wenedą*, względnie najbardziej krwawą, panuje starodawna, druidyczna, kamienna wielkość, niby wyszarpnięta z łona wieków krwawe jelita historji, blachę i spiże całej jakiejś odrębnej rasy i cywilizacji—jest to apokalipsa pogańska. Nad *ks. Markiem* i *Snem srebrnym*—świecą i gorą odrębne znaki i łuny; w odrębnej wielkości fale przelewa się język, innym jest rodzaj jego płynności i inna miara tchu.

Oto teatr Słowackiego z Apokalipsy. Trzeba dla niego zmienić i inaczej urządzić scenę, jeżeli się nie chce, jak dotąd bywa, dokonywać amputacji ducha i zamiaru, jeśli nie ma chromać piękno tego odrębnego rodzaju. W czem innem należy szukać tragiczności i prawdy, niż w psychologji, kompozycji, zwięzłości. Trzeba wymyśleć nowe symbole sceniczne, i tchnąć na widownię powietrze żertw druidycznych i ofiar świętojańskich. Wtedy na plany dalsze zejdą szczegóły i niebezpieczny, jeśli zbyt wyraźny kontur, a światło trzeźwości naszej i kinkietów teatralnych nie będzie grozić wywołaniem melodramatyczności.

Tylko wtedy ocali się prawdę wewnętrzną tych dziwnych a doniosłych sztuk ich ducha zbiorowego, ich atmosferę, gdy widz poczuje ziemię, która tyle krwi wenedyjskiej wypiła, albo go oślepi niebo grozy pod którym tyle krwi wylać potrzeba.

Tylko we właściwem zasadniczem otoczu prastarych ofiar nad brzegami głuchych wód, albo pod mieczami krwawych słońc i księżyców, wszystkie czary wielkiego karmelity i Wernyhory wydadzą się należycie. Nie tylko że nieprawdopodobieństwo rozwieje się we mgłach ogólnej cudowności scenarjusza, lecz i stanie się zadość daleko sięgającym intencjom Juljusza, całkowicie przetwarzającego teatr. Jego idea sybillińsko-druidyczna pokazałaby nam niesłychane cuda — wyższe od Wagnerowskich.

Jak u Wagnera muzyka uszlachetniła i owiała tchnieniem prawdy dziwy bajkowe i nieraz dość grube, tak samo Słowackiego cuda przestałyby się rozbijać o reżyserskie krótkowidztwo.

A cuda to donioślejsze od przemiany Nibelunga w żabę, - bo wyszły one z krwawej prawdy narodowego pożądania, duchowej potęgi widzeń i nadziei ziszczeń, z autentycznych przykładów mocą ducha i nadludzkiego wpływu na umysły, graniczącego z cudotwórstwem.

Cezary Jellenta.

WSPÓŁCZESNA UMYSŁOWOŚC POLSKA NA UKRAINIE. *)

W dość obszernym szkicu, opartym na analizie historycznej, pan Tadeusz Michalski oświetla pierwiastek ukraiński w literaturze polskiej i kreśli dzieje zatargów w piśmiennictwie polskiem i ukraińskiem. Spory o znaczenie i doniosłość tego pierwiastka, zdaniem autora, ciągną się u nas nieprzerwanym łańcuchem od samego świtu romantyki, od tej jeszcze epoki, kiedy Brodziński w Polsce właściwej, Mickiewicz na Litwie odwołali się w swych poezjach i pracach do twórczości ludowej, gminnej, jako do źródła, w którem się odświeżyć i odrodzić miało skostniałe na wzorach klasycznych piśmiennictwo ojczyste. Bieg późniejszego

*) Tadeusz Michalski. „Współczesna umysłowość polska na Ukrainie". Kijów. 1910.

rozwoju nie usunął konfliktu, przeciwnie, zatarg przeszedł w zaognioną fazę, w połowie ubiegłego stulecia, w okresie, kiedy donioslym głosem odezwali się rzecznicy odrodzenia ukraińskiego. Niestety, w nurcie tego odrodzenia nie zdołano utopić rosnącej niechęci i nieprzyjaźni; przeciwnie, ogień walki, mającej swe źródło w źle zrozumianem współzawodnictwie, pogłębił się wkrótce po wyjściu w świat powieści Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem", w której ukraińcy upatrzyli „najpospolitsze polskie oszczerstwo i obelgę płaską". Ten sąd krzywdzący w ówczesnych warunkach rozwoju ukraińskiej myśli, rozległ się jako złowróżbne hasło do starć z polskością. — Nie poprzestano na Sienkiewiczu, lecz wzięto w krzyżowy ogień niechęci i oskarżenia całą szkołę ukraińską literatury polskiej, krórą w rozdrażnieniu i złości nazwano prostą i pustą „zabawką szlachecką".

Opinja ta, mijająca się z rzeczywistym charakterem twórczości polskiej, a wypływająca z głębszego źródła antagonizmów narodowościowych, wypowiedziana w czasie, kiedy prasa polska w części zniewolona była do milczenia w sprawach, związanych z bytem gnębionej Ukrainy, w części zaś ulegała powszechnemu u nas od roku 1863 zobojętnieniu na sprawy litewskie i ruskie. Wkrótce jednak Adam Pług i publicysta polski. Hodi, uprzedzając tworzenie się krzywdzącej legendy o istocie piśmiennictwa polskiego na Ukrainie, rozbili wygórowane uroszczenia i fałsze rozmyślne. Powołując się na arcydzieła polskości ukraińskiej, „Marję" Malczewskiego, „Zamek Kaniowski" Goszczyńskiego, „Duch od stepu" - Bohdana Zaleskiego, dowiedli jasno i niezbicie i pokazali kruchość oskarżeń o nietolerancję i uprzedzenie polskie względem ukrainizmu ruskiego. Inni sprostowali gadkę, bon mot zastąpiono tą prawdą, że najprzedniejsi smętni pieśniarze, twórcy zatroskanej myśli polskiej na Ukrainie, nie byli to buńczuczni szlachcice, rubasznie śmiejący się i drwiący z „chama" ukraińskiego, lecz pokutujący marzyciele, zadumani samotnicy z bruzdą smutku na czole, wyrytą niedolą ludu ruskiego. Byli to romantycy, idealizujący dawniejszą hajdamaczczyznę, lub prości pieśniarze, zasłuchani w szmery dziejowe stepów, zapatrzeni w kurhany, mogiłki—nieme pomniki dawnych zwycięstw i przebrzmiałej sławy.

Dla autora powstaje tu niepokojące pytanie: „Któż tedy naprawdę z autorów polskich nad Dnieprem był wrogiem ludu ukraińskiego? Historyk kamieniecki, d-r Antoni J. odsłonił tajemnicę spisku polskości przeciw przyszłości Ukrainy — w warszawskiej „Kronice Rodzinnej" — „któżby się nie domyślił — w ogłoszonych tam wyciągach z prywatnej i poufnej korespondencji pierwszorzędnego niegdyś krytyka polskiego, Michała Grabowskiego, najpoczytniejszego przed laty w Polsce powieściopisarza — Henryka Rzewuskiego, księdza Chołoniewskiego i księdza arcybiskupa Hołowińskiego... Byli to gorliwi, nieprzejednani katolicy i szlachcice najczystszej wody, — wody tem czystszej, że dokoła nich kłębiło się morze całe błotnych lub zabłoconych prześladowań i zamachów na Kościół — i na szlachectwo, ze krwi czy z ducha — w każdym razie najniewątpliwiej polskie".

I nie jest to przeszłość. Niestety, to dzień dzisiejszy. O pisarzach tych nie można mówić jako o przeżytkach. Oni — „słudzy ołtarza i przywileju klasowego— żyją, istnieją, rozwijają się dalej, — dzisiaj, czy przed 10 ciu, przed 40-tu, czy przed 100 laty..."

Obok licznych przedstawicieli ugody politycznej i wstecznictwa klerykalnego, narówni z rozwijającą się prasą katolicką, polskość na Ukrainie posiada znaczny poczet pisarzy starszych i młodszych, o barwach niezawisłych. Ze „starych"—mało jest takich, co w sobie zagadnienia z bytem polskości ukraińskiej przetrawiwszy, — szczerze się oświadczyli za autonomją Ukrainy dla ukraińców. Natomiast u młodych niema pod tym względem żadnych już wahań — i ci wyraźnie nakazują pozostawić robotę ukraińską — ukraincom.

Na zastęp młodych składają się przeważnie poeci, krytycy, powieściopisarze, noweliści i t. p. Tendencji szukać tu trzeba bardzo oględnie, zdolności, natomiast, znajdzie się wszędzie sporo — i to jest może, zdaniem autora, najgruntowniejsza różnica pisarzy tegoczesnych— ze starem pokoleniem. Obecnie szkoła ukraińska, jaśniejąca przed laty w piśmiennictwie, szczególnie w poezji polskiej, której przedstawicielami byli swego czasu Antoni Malczewski, Seweryn Goszczyński, Bohdan Zalewski, Adam Czaykowski i wielu pomniejszych twórców, w ciągu szeregu lat rozwoju literatury polskiej — zmalała, zatraciła swoją odrębność, rozproszyła się i wreszcie znikła w ogólnej literaturze polskiej.

Obecnie piśmiennictwo polskie na Ukrainie przeżywa drugi okres rozwoju Współczesna „Młoda Polska" na Ukrainie nie jest wytworem ziemi ukraińskiej. Nosi ona piętno ogólno- polskiej, a nawet ogólno-europejskiej poniekąd literatury. Młodzi poeci kształcili się przedewszystkiem na Słowackim. Echem żywem i silnem odezwało się w nich „Życie" krakowskie i Miriamowska szkoła „Chimery", Verlaine, Baudelaire, Sully, Maeterlinck, mieli kształcący i pogłębiający wpływ na pokolenie poetów polskich na Ukrainie, tak liczne w porównaniu z ostatniemi dziesiątkami lat XIX stulecia. Wraz ze szkołą ukraińską ginie w przeszłości echo szumnej, stepowej Ukrainy, dawny pogwar bojowej epopei w tej najmłodszej polskiej pieśni ukraińskiej. Sztuka tam pozbyła się kolorytu lokalnego, dąży natomiast do szerszych horyzontów, wzbija się na wyżyny, niekiedy opada często bezsilna, a jednak trwa i płonie ciągle.

Pan Tadeusz Michalski dość obszernie rozpatruje najmłodszą twórczość polską na Ukrainie, ze źródłową znajomością przedmiotu, w formie udatnej, spokojnej, pozbawionej brząkadeł efekciarskich; znać miarę krytyka, która od pierwszej stronicy nie pozostawia ni złudzeń i wątpliwości, co do słusznej, choć powściągliwej oceny młodego dorobku literackiego.

Niemniej obszernie autor rozpatruje stan i rozwój publicystyki polskiej na Ukrainie, głównie w Kijowie. Widzimy tam pokrewne cechy z publicystyką naszą w Królestwie. Ujawnia się to samo zmaganie żywiołów przeciwległych, objętych sferą różnych porywów, dążeń, wpływów. Widzimy młodą myśl polską, porającą się ze starczą rutyną, z surogatem tradycji dziejowych, z tą przeżytą, omszałą ideologją, która siłą uwiądu bezwładnego trzyma się opoki i upomina się jeszcze o prawo władzy i rządzenia, pomimo praw życia młodzieńczego, nowoczesnego, nietylko polskiego tam — na Ukrainie. Współczesna m ł o d a polskość na Ukrainie, także jak i w Królestwie, musi przejść przez piekło tragizmu walki z żywiołem, upominającym się o prawa przeszłości, — nie tej przeszłości górnej i chmurnej, lecz przyziemnej, związanej z przywilejem kasty, z przesądem urodzenia, z dogmatem wierzenia, z kanonem kłamstwa i obłudy. I tam młoda myśl polska w trudnej epoce, objętej zwątpieniem, musi tworzyć i kształtować nową świadomość, będącą jedną z sił rozwoju, i w tragicznym uścisku z rzeczywistością, zda się, beznadziejną, wydobywać paliwo idei, entuzjazmu, natchnienia dla przyszłej epoki renesansu, która wytknąć ma nowe szlaki dziejowe. W tragizmie współczesnym młodej umysłowości polskiej kiełkuje odrodzenie i za nim żyć będzie nazewnątrz — musi dojrzeć i zmężnieć w tej łupinie dla nas tak twardej i gorzkiej.

Henryk Lukrec.

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.

Andrzej Strug. Jutro... Spółka nakł. „Książka“ Skład główny: Lwów, H. Altenberg.

„Pamięci tych, co przeszli mękę oczekiwania. Ich myśli, pracującej w ostatnią noc bezsenną. Ich samotnemu męstwu.” Tak brzmi dedykacja tej książki, dedykacja tym, których oczy zawarte na niej nigdy nie spoczną. Straszna to rzecz położyć ręce na ranie żywej, straszna to rzecz dotknąć tak wielkiego cierpienia, że tylko nikła linja dzieli je od otchłani szaleństwa. I jeżeli tem cierpieniem cierpi człowiek silny, zahartowany, niezłomny pomimo załamań wewnętrznych, tem większe to sprawia wrażenie.

Oto człowiek jednolity, cały jak pocisk przyszłości, zapamiętany w czynie staje wobec śmierci. Człowiek przeciętny i człowiek niemetafizyczny. Tem ciężej, tem gorzej. Nie będzie zwycięskiej chorągwi — bo imię ich był legion i zginęły imiona w tem mnóstwie — nie będzie ukojenia transcedentnych wyżyn. I cała praca ducha samotnego w ostatniej godzinie skierowana jest nie ku szukaniu narkotyku, ani ku narzuceniu — zasłony ułudy na szkielet prawdy: tylko wypromieniowaniu prostego, ludzkiego męstwa do niesienia ciężaru. Strasznie zgrzyta szczęka szkieleca, potworna rzeczywistość zagląda w oczy, niezbita, jak prawda matematyczna i niepojęta, nie dająca się zrozumieć zbuntowanem uczuciem. Czuć wielki pietyzm i wielką współczującą prostotę w oddaniu tego człowieka przeciętnego i niemetafizycznego. Jego walka bolesna jest walką wielką osobników: jest to schemat ostatnich godzin wszystkich ludzi tej samej kategorji. Zostało tu przedstawione zjawisko typowe, z cech indywidualnych odbarwione. I to właśnie robi książkę A. Struga bardziej dokumentem, niż dziełem sztuki. Czemże się sztuka różni od opisu faktów rzeczywistych lub możliwych? Tem małem zboczeniem, tem konkretnem niepodobieństwem danego zjawiska do wszystkich innych zjawisk tego samego rodzaju. Dzieło sztuki jest jedynem, jak jedynem jest każde indywiduum, jak jedynem jest byt każdy, zamknięty w sobie, niemożliwy do powtórzenia. Siłą stworu artystycznego jest to suma cech szczegółowych i indywidualnych, która potrafi wypełnić ramkę typu. Postawiwszy sobie za zadanie odtworzenie właśnie człowieka typowego, „jednego z wielu”, autor osłabił tem samem roz[illegible]ach artystyczny, dążący zawsze, mniej lub więcej świadomie, do unieśmiertelnienia „jedności”, choćby zawartej w najdrobniejszym szczególe: Osłabił ten rozmach również sposobem pisania analityczno-naoracyjnym, nie dającym ani jednego odrębnego, zamkniętego w swej grozie syntetycznego momentu.

Staje przed nami autentyczna dusza bojownika. I żal, rozpaczliwie żal tak ukształtowanej duszy. Idea abstrakcyjna była jedynem jej ukochaniem. Nie było czasu na uczucia indywidualne, nie było czasu na żadne zagadnienia, prócz czynu bezpośredniego. Czyn schłonął wszystko, w żelaznej determinacji śmierci zamilkła cudowna pełnia życia. Jakichże to bohaterów czyn nasz powołał do życia? Szarych bohaterów, dla których cnotą najwyższą—cnota szeregowca, którzy potrafili odbarwić swą duszę ze wszystkich niepotrzebnych „mrzonek”, przeszkadzających karnemu kroczeniu w szeregu. I podziwiając ofiarę bezgraniczną tych ludzi, trzeba pamiętać o jednem jeszcze, najcięższem może wyrzeczeniu: wyrzeczeniu się w warunkach nienormalnych pełni twórczej swej duszy, zubożeniu i zwężeniu jej w ciągłem zadyszaniu pracy nad siły.

Trzeba jasno wyznać przed sobą: tak, istotnie, ruch zbiorowy wydał ludzi zbiorowych, ludzi — szeregowców. Nie ziściło się nasze oczekiwanie bohaterów—cudotwórców. I czyny niezwykłe nie wydały nawet kultu bohaterów, tylko apoteozę człowieka bohaterskiego swą przeciętnością. Rozwijały się charaktery w milczeniu dusz. I wielkiem, wielkiem w tragicznej swej surowości jest to umilknięcie, to bezgłośne utonięcie w masie dla przyszłości, to zatracenie dla okamgnienia niszczycielskiego twórczej swej tęsknoty, budownictwa gmachów własnych, to zaparcie się siebie. Czy tylko przyszłe pokolenia zechcą korzystać z raju, stojącego na kościach męczeńskich? Czy nie odrzucą tego zbyt ciężkiego daru i czy nie zatruje on na zawsze wszystkich źródeł życia?

Trafnem psychologicznie jest w tym utworze uświadamianie sobie śmierci jutrzejszej przy zetknięciu się z ostrzem codziennego życia, z jego najdrobniejszemi szczegółami. Książka ta jest jak bolesne godzinki, jak pobożne rozpamiętywanie krwawych stacji drogi męczeńskiej. Jak uczczenie ostatniej pamięci jest przeczytanie tej książki. Jest w niej więcej, niż sztuka, bo szmat ociekającego krwią życia.

Savitri.

VI. WYSTAWA DOROCZNA.

Już taki jest zwyczaj na tym świecie, że od malarzy nie żąda się publicznie rozwoju ich talentu indywidualnego, zostawiając biegowi czasu rozkwit ich sił twórczych. Jeżeli zatem malarz X. albo malarz Y. opanowawszy technikę w stopniu obowiązującym zacznie malować, to, co już dawno inni malowali, gorzej, bo w taki sam sposób, nikt do nie będzie miał najmniejszych pretensji. Byle to wszystko jako tako się trzymało, byle nie było niedorzeczności widocznych t. j. każdy z ochotą — a on sam przedewszystkiem pasuje się na malarza—zapominając, że od techniki — do twórczości — droga niezmiernie daleka, i że wirtuozem zostać można zostać, artystą i twórcą natomiast trzeba się urodzić!

Dożyliśmy zatem chwili, kiedy VI. wystawa doroczna, zapełniła wiele ścian od góry do dołu obrazami. Niestety śmiało można powiedzieć, że z pewnemi wyjątkami nie widać w tych pracach szczerego wzruszenia estetycznego. Wszędzie poprawna rutyna, wszędzie wysiłki rysunkowo-malarskie. Nigdzie natomiast nie widać twórczości, dla której technika jest tylko koniecznym dodatkiem, nie zaś celem długoletnich studjów!

A jednak dokąd oczy zwrócić tam „firma”, której nie tyle *indywidualność* ile *maniera* puszcza fajerwerki. Pierwszym z tego rodzaju jest świetny rysownik i malarz znany i uznany Jacek Malczewski. Jego wielka sława mówi dostatecznie o jego pracy i liczbie obrazów, lecz „Chrystus z Emaus” przebiera miarę niecierpliwego oczekiwania, jakie powstaje wobec nowych, a zawsze takich samych dzieł tego artysty.

W ostateczności to przecież wszystko jedno, czy w środkowej części tryptyka, zobaczymy znaną twarz Malczewskiego, w żołnierskim płaszczu, z jakimś motylkiem lub ptaszkiem, czy też Chrystusa podobnego do samego malarza, ze szklanką herbaty w rękach. Tak jest w ostatniej jego pracy! Po obu stronach, tryptyka, siedzą młodzieńcy w mundurach weterynarzy, i też piją herbatę.

Gdzie Krym, a gdzie Rzym?!

Prawdopodobnie Malczewski wiedział co robi (chociaż pewności niema) co to jednak obchodzi tych, którzy patrząc na świetnie malowane szczegóły — szukają w obrazie odpowiedzi na swoje pytania! Symbol to nie rebus. Jeżeli chodzi o to, żeby było trudno zgadnąć, to po cóż niedorzeczność okrywać formą wielkiego talentu malarskiego. Zato „Niewolni” Stabrowskiego nie mają nic z tego symbolizmu. Obraz przedstawia ogród zoologiczny wieczorem, pełny światła lampek

różnokolorowych, odbijających się w wodzie w prześlicznych świetlnych plamach. Obraz Stabrowskiego łączy wysokie zalety rysunkowe i malarskie przy szczerem sentymencie natchnienia. Jest to bezwątpienia jedna z najlepszych prac z wystawionych. Bardzo interesującym w kolorze jest „Letni dzień" Krasnowolskiego. Józef Krasnowolski należy do rzędu malarzy indywidualistów. Nie podobny do żadnego ze współczesnych, zbliża się jedynie tematem do Tetmajera, tak samo jak i on rozumie piękność barw i rozmach chłopskiego życia. Lecz sama idea twórcza oparta, na zupełnie innym wyrazie techniki malarskiej— różni się rezultatem. „Letni dzień" pełen spokoju i powietrza, przy cechującej tego malarza sumienności popartej wybitnem poczuciem formy i barwy— jest doskonałym dokumentem talentu. Znamienny jest, szybko rozwijający się talent Jana Skotnickiego. Jego obrazy: „w Polsce" i „Żałobnicy" malowane śmiało, pewnie mieszczą w sobie wiele odpowiedniego nastroju. Trochę za zimny w kolorze drzew, lecz pełen zalet rysunkowych jest „gród" popularnego malarza Kazimierza Lasockiego. Rozplanowany znakomicie i zamknięty w granicach zamiaru, robi wrażenie subtelnem wyczuciem przyrody.

Z batalistycznych obrazów uderza świetna pełna rozmachu kompozycja Brandta: „Bogarodzica" i znany już z reprodukcji obraz Kossaka „Trębacz i kowalowa" oraz „Droga do Madrytu", fragment z ataku swoleżerów. Wielki obraz Batowskiego „Husarja pod Chocimem" nie odpowiada wymaganiom nawet pobłażliwszego rodzaju. Traktowany szablonowo—rysowany wadliwie—z daltonistyczną bezpłciowością barwy—robi przykre wrażenie. Po za tem widzimy poprawne rzeczy Bagieńskiego — i przechodzimy do pejzażystów. Tu na pierwszy plan wysuwa się świetny obraz Bronisława Kowalewskiego. „Stara sosna nad jeziorem", łączy w sobie cenne zalety opanowanego a wybitnego talentu, przy zgoła niepowszedniej inteligencji malarskiej. Artysta czuje przyrodę niepowszednie, daje więc dzieło artystycznie pomyślane i konsekwentnie przeprowadzone, uderzające szlachetnością barwy i logiką rysunkową. Dalej widzimy obrazy Noskowskiego i Ryszkiewicza syna, zapowiadające malarza nieprzeciętnego. Banalny chociaż niepozbawiony nastroju jest „Zachód słońca" Popowskiego. Widocznie w myśl ironjki wildowskiej oczekujący na gości z prowincji, dla których malowane zachody słońca, mają urok wielkiej tajemnicy twórczej. Nierównie banalniejszy no i nierównie gorzej malowany jest duży obraz Józefa Rapackiego p. t. „N. M. P. Módl się za nami." Pominąwszy już samą myśl twórczą, jako zamiar artystyczny trudno bez oburzenia patrzyć na prowokująco banalne brzozy malowane *nie szczerze*, lecz *nieszczerze* — dalekie od prostoty a bliskie jakiejś apelacji do kołtunerji ludzkiej. Wprost przeciwne „ideowo" są obrazy Romualda Witkowskiego. Nie mam zamiaru patrzeć na te na wskroś eksperymentalne rzeczy, jakgdyby projekty dywaników utrzymanych w silnych primitywach, kwestjonować umiejętności rysunkowe artysty. Że Witkowski umie rysować i czuje kolor świadczyła dostatecznie o tem owa „dama z Chryzantemami", wystawiona przed dwoma laty. Dziś widzimy w pewnej harmonji kolorów stylizowane kwiaty i dzieci, w sposób dość szczególny, nie mniej odróżniający się w powodzi poprawnej, niezaprzeczonem poszukiwaniem piękna!

Jeżeli będziemy mówić o portretach, to nie należy chyba wspominać o p. Michale du Laurans. Widziałem kiedyś portret dr. Władysława Weryhy jego pędzla i zapowiadał portrecistę pierwszej miary. Obecnie p. Lauraus ma jakiś odstraszająco banalny sposób malowania wysoce beztemperamentowy. Za to portret Rejmonta Jakimowicza niezmiernie interesujący—w nastroju rysowany doskonale—jest niezaprzeczonem dziełem sztuki. Po za tem jak zawsze doskonałe portrety z *hig-lifu* Ludomira Janowskiego, oraz doskonały „główkowy" „portret p. K", pędzla Żmurki, malowany z pewnością i rozmachem dużej miary. Miły ze smakiem traktowany jest „portret p. Z." Zygmunta Badowskiego. Po za tem portrety wystawili również Wasilkowski, Lipiec, Korniewska oraz jak zawsze po swojemu malowane, Mordasewicz, Piątkowski, Lenc, Axentowicz i znacznie gorsze niż w roku zeszłym sztywne i banalne portrety dzieci Augustynowicza! Wogóle portretów jest bardzo dużo. Szkoda tylko, że portrety malowane w pewnej mierze, mają znaczenie jedynie dokumentów rodzinnych. Szerszy ogół mogą zajmować jedynie rzeczy wkraczające w sferę artystycznego wzruszenia, czego znów po wystawionych pracach nie można się spodziewać. Wogóle wystawa w tym roku znacznie słabsza jest od poprzedniej. Miejmy nadzieję że VII doroczna—będzie lepsza!

Stefan Kiedrzyński.

Dla szczęścia.

Ile jest ludzi — tyle dróg
dróg szczęścia — raju dróżek
któremi kroczą rzesze nóg
oraz zastępy nóżek.

Eleuteryk mówi tak:
plugawią — namiętności,
chcę się ich pozbyć;
celem mym — zbliżyć się do
[boskości.

Gdy przeto w łóżku marzy
zdarzy się taki traf
wymarzy sobie — kurę
to szepce „Chryste zbaw"
wsadzając palec w dziurę (swe-
[go nosa).

Wybrańcom swoim dobry Bóg
czasami figle płata
eleuteryka, gdy zalata
pięknej kobiety woń
on łapie się za skroń
następnie ściska nos
tragiczną robiąc minę
i ab libidine inpernali
liberame — szepce — Domine.

Znów inny tak powiada:
po cóż mam bogiem być?
rodziłem się — człowiekiem
człowiekiem będę gnić.

Więc taki, gdy ma za co
cieszy się, że jest zdrów
bo jutro djabli wiedzą
może polegnie w rów.

Z kobietą dzieli łoże
kocha ją, co ma sił
bo skąd on wie czy jutro
na świecie będzie żył.

I jego też doświadcza
wszechwładny mocarz — los

on jednak wobec kobiet
nie kładzie palca w nos.

Czując się blizkim kwiatów
w ich dzikim pierwostanie
żyje — bo się urodził
umrze, gdy żyć przestanie.
Odmiennie myśli trzeci
po co to tyle śmieci
zaraża tyle chat?
i po co te podłości?
dlaczego w społeczności
niema ładu, stateczności?
dlaczego ten ma brzuszek,
a ten ma suche żebra
ten ciepły ma kożuszek,
a tego trzęsie febra. —
Z tych różnych pytajników
dochodzi do wyników,
z wyników tworzy tezy,
tezom przeciwstawia antytezy
wreszcie dochodzi do syntezy.
Nieraz się nawet głośnym staje
za prawdę swoją życie daje
nieraz się w lada głupstwo
[wmiesza
ale i wtedy się pociesza.

Czwarty powiada: dobrze zrobię
jeśli majątku się dorobię
człowiekiem wtedy zwać mię
[będą,
jeśli im rublem ślip wykłuje:
dziś tym cześć biją, którzy płacą,
z tymi się liczą, tych szanują
na innych plują.
Jaką więc taki stąpa drogą?
On zawiłemi chadza drogi
„times is money" nie traci czasu
on silnie zbiera swoje nogi
węszy i śledzi — podsłuchuje
kędy wiatr wieje—kombinuje—
gdy celu swego zaś dobija
niepodchodź wtedy doń bez kija.

Ile jest ludzi — tyle dróg
dróg szczęścia, raju dróżek,
któremi kroczą rzesze nóg,
oraz zastępy nóżek.

Rozlewną płynie rzeką
to tak nazwane życie
przeto mądry człowieku
pomyślej należycie
co warto co nie warto
co dobre i co złe
byś władz swych siłą zwartą
osiągnąć szczęście twe.

Antoni Nowacki.

Z TEATRU.

„Srebrne szczyty", komedja w 5-ciu aktach Tadeusza Konczyńskiego. Pierwsze przedstawienie w teatrze Rozmaitości.

Na osobie Janiny Warnickiej ześrodkowują się promienie pożądania (miłości?...) trzech mężczyzn.

Ta „bajka" czarodziejska, ten cud uroku, wytworności i wdzięku jednoczy w sobie złudną, oszałamiającą obietnicę najwyższej rozkoszy i rzeczywistą groźbę niebezpieczeństwa. Ten typ kobiety wdziera się po wązkiej rzekomo ścieżynce zmysłów do duszy mężczyzny i każe mu szukać w sobie ziemskiego wcielenia ideału.

Legalny posiadacz Janiny, Warnicki, gentleman, sportowiec, człowiek „z towarzystwa", łączy z notorycznemi cechami klubowca pewien specyficzny gatunek inteligencji: geszefciarski spryt arystokraty - przemysłowca i wszechwiedzący cynizm degenerata. W czasie kilkoletniego małżeństwa starał się narzucić wrażliwej, subtelnej, idealistycznie usposobionej Janinie rolę swej nałożnicy, towarzyszki wymyślnych uciech alkowy sypialnej. Wyśmiał szlachetne (choć nieco histerycznie pojęte) dążenia Janiny, rozerwał bezwzględnym ruchem przyziemnego sceptyka złotą zasłonę, pod którą tuliła się ona przed zbyt bolesnym dla wydelikaconych nerwów naporem bytu realnego. Dziecko — ostatni łącznik pomiędzy małżonkami — umarło. Wówczas Janina odsunęła się od męża zupełnie. On powrócił do kawalerskich rozrywek, a ona poczęła żyć wyłącznie marzeniem.

Marzenie samotnej kobiety jest niemal zawsze zapłodnione przez mężczyznę. Tym dalekim, który teraz stał się ideałem Janiny, był dawny znajomy, Lagocki. Człowiek czynu, redaktor wpływowego dziennika, polityk i moralizator z zawodu. Traktujący poważnie sprawy publiczne i sprawę własnej karjery, ten człowiek „z łokciami", człowiek „o gutaperkowym karku" nie miał dotąd czasu na „romans". Był wprawdzie mężem i ojcem — ale to jest zupełnie co innego.

Ci dwaj mężczyźni mają świadomość swego pożądania i dosyć odwagi, aby je wyznać — Leszczyc, poeta, ubiera swoje w powiewną szatę uduchowienia, utkaną z gwiazd. Gdy tamci mówią do Janiny: „Bądź moją!..." — Leszczyc deklamuje: „Stań się wolna duchem!" Gdy tamci mówią: „Pragnę ciebie!..." — Leszczyc zapewnia, że chce być tylko jej „przewodnikiem na srebrne szczyty"... Jest to — biorąc rzecz zgruba — tylko façon de parler, ale Leszczyc wierzy święcie w prawdę swoich wyrzeczeń. Cecha ta stanowi największą zaletę poety i największą wadę człowieka, którýby pragnął zwyciężyć w życiu.

Tych czworo ludzi spotyka się w Zakopanem, gdzie — rzecz dziwna — intensywny ruch fizyczny i zdrowa atmosfera górska nie wpływają wcale na przytłumienie pożądań natury erotycznej. Nawet przeciwnie — ale nie o tem mowa.

I zaczyna się (nie mogę powiedzieć dramat, użyję więc określenia autora, przeinaczonego w programie teatralnym:) powieść dramatyczna.

Trzech mężczyzn ubiega się o miłość Janiny. Ona wybiera Lagockiego. Nie przeto, że jest on taki czy owaki, tylko dlatego, że go kocha. Bo z tych trzech odpowiada Lagocki może najmniej naturze wewnętrznej tej kobiety (jak słusznie twierdzi Leszczyc). Gdy Warnicki staje im w drodze, Janina ma dosyć odwagi, aby go bezwzględnie odepchnąć. Kochankowie ruszają w świat: „cudzy mąż i cudza żona". Są szczęśliwi. Ale nietaktowne zachowanie się pewnej głupiutkiej młodej mężatki ochładza odrazu szał Janiny, i oto

zrywa ona pożycie z Lagockim— aż do czasu uzyskania rozwodu. Do tego kroku przyczynia się też nagła natarczywość Leszczyca. Kochankowie wracają do kraju. Warnicki dobija się usilnie zgody z żoną, Lagocki poczyna wymykać się do obowiązków redaktorskich i rodzinnych, Leszczyc recytuje swój poemat i czatuje na chwilę słabości („siły!”). Lagocka nawiedza Janinę i ofiarowuje jej stanowisko legalnej kochanki swego męża. W końcu stosunek zostaje zerwany z inicjatywy Lagockiego, któremu Warnicki zaręczył, że żonie wszystko wybaczy.

Tak przedstawia się w zarysie akcja sztuki. Akcja rzeczywista, rozgrywająca się istotnie na scenie. Czworo ludzi cierpi. Ale cierpienie ich nie wynika ze zmagania się *czynnego* pewnych pierwiastków wrogich. Ustosunkowanie charakterów nie podlega żadnym zmianom. Moment dramatyczny opiera się tutaj na kolizji pomiędzy *duchowością* paru osób a warunkami życia zewnętrznego. Gdyby życie realne zostało wprowadzone do akcji, mógłby wyniknąć stąd konflikt dramatyczny. Gdyby np. Warnicki stał twardo przy prawach męża i użył ich w akcie 2-im dla odpędzania Lagockiego; lub gdyby odmówił żonie przebaczenia. Gdyby wogóle zrobił cokolwiek... Lagocka przez swą propozycję kompromisu, hańbiącego Janinę, osłabia raczej moment dramatyczny zamiast go wzmocnić. I Janina jest bierna, aczkolwiek jest to bierność wojująca. Była taką w stosunku do męża, staje się taką w stosunku do Lagockiego, będzie taką zawsze w stosunku do Leszczyca. Broni się przed miłością, która ją znieważa i przed tą, której pożąda i przed tą, która ogarnia ją przerażeniem. Dlaczego?... Zrozumie to postępowanie uważny czytelnik, nie pojmie go zgoła widz teatralny. Gdyż scena wymaga uzmysłowienia. Osoby, występujące w sztuce, walczą z mocą nieznaną, usuniętą poza szranki akcji scenicznej, wysyłającą na plac boju tak niedołężnych ambasadorów, jak Barykowa, Zofja Kreczmer, właścicielka pensjonatu i t. d.

Nie jestem rygorystą-estetykiem i nie mam zamiaru gnębić czytelników dociekaniami dramaturgicznemi. I na pytanie: dlaczego „Srebrne szczyty“ nie są utworem dramatycznym?—odpowiem krótko: ponieważ zawartość myślowa dzieła nie wypowiada się bezpośrednio w akcji. Ale zawartość ta jest bogata i godna uwagi. To też literatura nasza, tracąc w dziele tem dramat, zyskuje dobrą książkę.

J. M. Muszkowski.

KRONIKA.

— Represje w r. 1909. Sumując wyniki życia politycznego i społecznego w Rosji, „Riecz” podaje również dane, dotyczące represji w r. 1909.

Otóż przedewszystkiem „Riecz” stwierdza, że w różnych miastach Rosji sądy wojenno okręgowe wydały 1,435 wyroków śmierci. Najwięcej wyroków śmierci wydano w Jekaterynosławiu—205. Następnie idą: Warszawa (106), Kijów (93), Charków (65), Tyflis (57), Moskwa (54), Saratów (53), Tambów (40), Wilno (38) i t. d. Według poszczególnych miesięcy najwięcej wyroków śmierci wydano w listopadzie—144, a najmniej w sierpniu (63).

Z wyroków sądu wojennego stracono 549 osób. Ze względu na liczbę wykonanych wyroków pierwsze miejsce zajmuje Jekaterynosław. Stracono tutaj 75 osób. Następnie idą: Odesa (31), Saratów (28), Warszawa (28), Kursk (20) i t. d. Według poszczególnych miesięcy najwięcej wykonano w styczniu (95), najmniej w październiku (29).

Kary prasowe w r. 1909 dosięgły sumy 87,375 rb.; ogólna liczba ich wynosiła 182. Najwięcej zapłaciła prasa petersburska; zaregestrowano tu 39 kar na sumę 29,900 rb. Moskwa zapłaciła 15 kar na sumę 10,500 rb. Wogóle, jak pisze „Riecz“, nie ma w Rosji ani jednego organu postępowego, który nie zapłaciłby kary prasowej. Z organów prawicowych zapłaciły kary: „Russkoje Znamia“, „Ziemszczyna”, „Świat“, „Głos Prawdy” i inne

Najwięcej, bo 12,350 rb., zapłaciła prasa rosyjska za artykuły w sprawie Azefa. Sprawa Hartinga kosztowała nieco taniej.

Wreszcie „Riecz” podaje dane statystyczne o zesłańcach politycznych. W r. 1909 liczba zesłańców politycznych zmniejszyła się. Według danych ministerjum spraw wewnętrznych w r. 1909 zesłano pod jawny nadzór policji do gubernji oddalonych 2,200 osób, podczas gdy w r. 1908 zesłano 10,166 osób, a w r. 1907—8,130 osób.

W d. 14 listopada 1909 r. ogólna liczba zesłańców politycznych, według danych ministerjum spraw wewnętrznych, wynosiła 22,568 osób, nie licząc tych, którzy zostali zesłani z wyroków sądowych.

— Z Minusińska telegrafują do „Rieczy”, że władze miejscowe zabroniły mieszkańcom pod groźbą 100 rb. grzywny i wysłania z granic powiatu powierzać naukę dzieci swych zesłańcom politycznym. Lekarzom, akuszerkom i farmaceutom, nawet zesłanym w drodze administracyjnej, zabroniono zajmować się praktyką.

— Aresztowania w Petersburgu. W nocy na 20 b. m., z polecenia naczelnika miasta aresztowsno, jak donosi „Now. Wr.”, 18 z liczby 24 przedstawicieli organizacji robotniczych na zjeździe antyalkoholicznym. Oprócz tego aresztowano współpracowników „Profesjonal. Wiestnika” i „Nowej Rusi”. Frakcja socjal-demokratyczna zamierza z powodu aresztów tych wnieść interpelację w Dumie.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie, kraju, cesarstwie i zagranicą: 3 rb. 60 kop.; półrocznie 2 rb. kwartalnie 1 rb. (W Galicji rocz. kor. 9, półrocz. kor. 2.50. W Ks. Poznańskiem: rocz. Mk. 8 półrocz. Mk. 4.50, kwar. Mk. 2.25. Numer pojedyńczy 15 kop.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Krucza Nr. 7.

Redaktor i wydawca **Wacław Nałkowski.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego i S-ki Nowy-Swiat 47.